

Biały królik (a w tle służbowa performerka)

Alicja w Krainie Czarów, reż. Marek Ciunel, Teatr Baj Pomorski w Toruniu

	JOANNA OSTROWSKA	Doktor habilitowana kulturoznawstwa, adiunkt w Zakładzie Performatyki Instytutu	AA
---	-------------------------	---	----



Fot. Radosław Kamiński

- *Skąd może pan wiedzieć, że ja mam bzika? - zapytała Alicja.*
- *Musisz mieć. Inaczej nie przysłałabyś tutaj.*

Tak to najczęściej bywa z dziełami sztuki teatralnej, że nie stajemy wobec nich samotnie. Przedstawienia grane dla jednego widza to wciąż bardzo wąski margines eksperymentu i teatr raczej masowo tą drogą nie pójdzie. Być może z różnych przyczyn (wśród których poczesne miejsce zajmuje ekonomia) jest skazany na wielość ludzi zbierających się w tym samym czasie w celu obejrzenia przedstawienia. Widzowie ci, być może nie do końca świadomie, wpływają wzajemnie na swój odbiór przedstawienia oraz, co równie istotne, wnoszą do niego swoje własne jakości związane z reakcjami na to, co się dzieje na scenie. Jeśli teatr gra dla młodych widzów, musi liczyć się z tym, że bywają oni stosunkowo ruchliwi i stosunkowo mało cisi, słowem, dzieci w teatrze zwykle wierzą się, kręcą i gadają. Jeśli takie ich zachowania są reakcją na spektakl, uważam, że wszystko jest w porządku. Artysty ze sceny często potrafią ograć ten naturalny dla dzieci tryb odbioru. Inscenizatorzy nierzadko biorą go pod uwagę przy komponowaniu rzeczywistości scenicznej. Zwykle trudno jest pogodzić się z nim nauczycielkom nawykłym do tego, iż sygnałem zaangażowania klasy w to, co proponują, jest cisza.

Ten długi wstęp służy temu, by wytłumaczyć sytuację, w jakiej znalazłam się, oglądając w toruńskim Baj Pomorskim *Alicję w Krainie Czarów* w reżyserii Marka Ciunela. Udałam się tam, by zobaczyć jego spektakl, a uczestniczyłam w dwóch równoległych działaniach performatywnych, z których jedno (o wątpliwej skuteczności) nie było chyba przez twórców *Alicji...* zaplanowane. Nie, nie zamierzam tu pisać o krzyczących na widowni dzieciach, które uniemożliwiły mi odbiór tego przedstawienia. Tym razem nie chodzi także o neurotyczne nauczycielki powtarzające jak w transie: „ciiiii”. Ten drugi performans wykonywany był przez pracownicę teatru, która je w tym zbożnym dziele wyręczała z fanatyczną gorliwością. A że była czuina jak tygrysyca, uważna jak czapla i rzutka jak fryga, samodzielnie zakłócała przebieg spektaklu lepiej niż cała rozwyzdrzona szkolna klasa. Wszędzie było jej pełno, śmigała wzdłuż rzędów, rzucała się między krzesła, by uciszać albo siedząc pod ścianą, donośnie i dobitnie syczała: „ciiiii”. Było to tym bardziej absurdalne, że próbowała w ten sposób wygaszać jak najbardziej adekwatne reakcje dziecięcych widzów, którzy śmiali się w odpowiedzi na żarty ze sceny, czy też krzyczeli z przestrawem, kiedy znienacka poruszyli się i przemówili rzeźby żaby i ryby stojące obok sceny. A kiedy chwilowo nie uciszała, śmignęła za ostatni rząd siedzeń, poprawić zasłonkę do drzwi na zaplecze. Ten jej performans był na tyle wyrazisty (i irytujący), że zakłócał (w przeciwieństwie do zwykłego w takich przypadkach szmeru dziecięcej widowni) oglądanie spektaklu Ciunela.

Jeśli pracownicy teatru pragną idealnie cichych i nieruchomych widzów, można spróbować dzieci podmienić na rzeźby lub drewniane pajacyki (choć jak pokazuje przykład Pinokia, z tymi ostatnimi też mogą być kłopoty). Trudno jednak takich „idealnie niewidocznych widzów” znaleźć wśród pięcio- i siedmiolatków, którzy akurat tego dnia byli na widowni (przedstawienie rekomendowane jest od siedmiu lat). Mam wrażenie, że ta *Alicja w Krainie Czarów* przeznaczona jest jednak dla nieco starszych widzów, a prędzej nastolatek odnajdzie się na przedstawieniu najnajowym, niż sześciolatek przesiedzi cicho dziewięćdziesiąt minut spektaklu. To, że przedstawienie jest raczej dla starszego widza, sugerowała już muzyka, którą słyszać było od wejścia na widownię. Był to zniekształcony w niepokojący sposób fragment *Cheek to Cheek* Franka Sinarty śpiewany kobiecym głosem. Już to wprowadzało klimat tajemniczości wsparty także przez przywołane już dwie zwierzęce rzeźby stojące po bokach sceny. Jak się potem okazało, ten niepokój był całkiem uzasadniony – Żaba (Jacek Pietruski) i Ryba (Andrzej Korkuz) przemówiły, dając Alicji wskazówki dotyczące możliwości kontynuowania jej drogi, a także zagrożień, jakie na nią czekają.

Szkoda mi było tej *Alicji w Krainie Czarów*, ponieważ jest to przedstawienie, w którego świat należy się z uwagą zagłębić, a dzięki samotnej performerce było to bardzo utrudnione. Żadna linearna fabuła czy choćby znajomość wydarzeń z powieści nie może tu być podporą w śledzeniu akcji, bo spektakl bardzo konsekwentnie trzyma się konwencji niepokojącego snu. Epizody wydają się od siebie oderwane, postacie zjawiają się i znikają, w czym celuje Kot z Cheshire (Jacek Pietruski), mówiąc, używając cytatów z książki Carolla – najczęściej tych, które są paradoksalnie logicznymi rozważaniami. Poszczególne postacie zdają się pojawiać w kilkuosobowych zbitkach za sprawą tego, że grane są przez jednego aktora. W wielu przypadkach potrzebna jest naprawdę bardzo gruntowna znajomość tekstu, by się zorientować, którym z bohaterów literackich akurat teraz jest aktor. W planie spektaklu nie jest to jednak problem – postacie służą bowiem bardziej budowaniu niezwykłego klimatu tego przedstawienia niż prezentowaniu fabuły. Także postać głównej bohaterki nie pełni w tym śnie jakiejkolwiek roli scalającej. Nie mamy bowiem w spektaklu przygód jednej Alicji, która znienacka wpadła do nory królika, a wydarzenia pokazywane na scenie rwą się lub może kierują się właśnie taką senną logiką. Głównych bohaterek jest trzy. W programie są określone jako „1”, „2” i „3” – równie dobrze, od kolorów ich sukienek, można by je nazwać: Niebieską, Czerwoną i Czarną. Choć prowadzą one opowieść jedna po drugiej, to nie można z całą pewnością powiedzieć, że jest to ta sama postać w różnych etapach swojego życia, czy też stopni przemian, jakim Alicja została poddana w Krainie Czarów. Równie dobrze można przypuszczać, iż każda z nich prezentuje rozmaite aspekty osobowości dziewczynki, ujawniające się pod wpływem zdarzeń i występujące niekiedy równocześnie (bo czasem mamy na scenie wszystkie Alicje).

Główną osią spektaklu jest stawiane przez Alicję pytanie: kim jestem? Początek przedstawienia mówi o tym bardzo wyraźnie: na scenie, w gablotkach otoczonych złotymi ramami wiszą oddzielnie części ciała: ręce – prawa i lewa, dwie nogi, korpus ubrany tak samo, jak dziewczynka, która chodzi po scenie i duża, zdecydowanie dziecięca głowa lalki. Tak poznajemy pierwszą, Niebieską Alicję (Anna Katarzyna Chudek). Przez strój – kolor sukienki i doczepiony do niej fartuszek, wygląda na najmłodszą z postaci. To ona zastanawia się, kim jest i próbuje „złożyć siebie” z gotowych elementów, podczas gdy obie manekinowe ręce trzymają dwie pozostałe Alicje. Do króliczej nory wpadają razem, czy raczej każda osobno, ale równolegle, ponieważ żadnej interakcji między nimi nie ma. W króliczej norze Alicja (której dziewczęcość podkreślona jest ogromną, nieproporcjonalną lalkową głową z gabloty) natyka się na jej głównego lokatora (Mariusz Wójtowicz), który domaga się odnalezienia rękawiczek. Dalej opowieść rozwija się całkiem jak w piosence *White Rabbit* Jefferson Airplane: „One pill makes you larger / And one pill makes you small...”. Tyle że tu na scenie ta zmienność postaci Alicji nie odnosi się do jej wzrostu (bo Alicja cały czas występuje jako aktorka w żywym planie), ale właśnie do niepewności, kim się jest. Na początku Niebieska Alicja wie, że nie chce by nią pomiały aroganckie króliki. Postacie wszystkich zwierząt mają w sobie coś z klimatu wiktoriańskiego horroru, niby są miłe jak pluszowe zwierzątka dzięki swoim kostiumom oraz bardzo pięknie wykonanym futerkowym głowom, a równocześnie są groźne i niepokojące. Bardzo mocno przypominają oryginalne ilustracje Johna Tenniela do pierwszego wydania książki Carolla. Właśnie to wydawało mi się fascynujące – jak bardzo Ciunelowi udało się przywołać na scenie klimat tej lektury. Dla mnie jeszcze, być może za sprawą dymu, który delikatnie snuł się po scenie, a może magicznych sztuczek wykorzystywanych w przedstawieniu (na przykład głowa kota rzeczywiście kręciła się dookoła – a w masce cały czas widoczna była twarz aktora), bardzo wyczuwalna była lekko psychodeliczna atmosfera, całkiem jak z piosenki *White Rabbit*: „When logic and proportion / Have fallen sloppy dead...”. W warstwie wizualnej twórcy igrali z naszą percepcją na różne sposoby, na przykład używając najprawdźwyszich magicznych sztuczek czy odsłaniając kolejne plany w głębi sceny, które przypominały właśnie wchodzenie w głąb, wpadanie w sceniczną opowieść dalej i dalej. Do rozmaitych zabaw z planami akcji wykorzystywano także wyjście z tyłu widowni, gdzie pojawiła się na przykład Kucharka/Księżna (ponownie Mateusz Wójtowicz), dzierżąc w ręku gąbczasty młotek, którym waliła widzów po głowach (mnie też się oberwało). Kucharka/Księżna była obszerną kobietą z dużym biustem, którym podzwaniała, z wymalowanymi okrągłymi policzkami, co w połączeniu ze strojem oraz zachowaniem upodabniało ją do postaci cyrkowego klauna z całą dwuznacznością jego śmieszno-strasznych poczyniń, tyleż zabawnego, co niepokojącego. Kucharka/Księżna nie dość, że biła młotkiem, dzierżąc w drugiej ręce zawiniątko z niemowlęciem, to jeszcze wyśpiewywała absurdalną piosenkę o konieczności bicia synka, kiedy kicha. Potem, kiedy przekazała dziecko (którego niemowlęcą twarz widzieliśmy) Alicji, okazało się, że w beciku jest mały prosiaczek. Cała ta przemiana dokonała się na naszych oczach w sposób niezaawazalny. Jak w takich okolicznościach oczekiwać od widzów, nie tylko dziecięcych, że będą martwo tkwić w miejscach? A i tu samotna performerka uciszała piszczącą i śmiejącą się dziecięcą.

Dруга z Alicji – Czerwona (Marta Parfieniuk-Białowicz) była zupełnie inna niż poprzednia. O ile tamta przede wszystkim była zbuntowana i zagubiona, ta wydawała się czerpać radość z okoliczności, w jakich się znalazła. Jej sceny to głównie herbatka u Kapelusznika (Andrzej Korkuz), w trakcie której oddawała się z przyjemnością absurdalnym rozważaniom na temat relacji z czasem. Absurdalności tej scenie dodawało jeszcze to, że Alicja i Kapelusznik siedzieli obok albo wewnątrz wielkiej wyszczerbionej filiżanki, która równocześnie była zegarem, a dwie pozostałe postacie ze spotkania, czyli Marcowy Zając i Susel to pacynka w rękę aktora oraz jego but. Nie możemy więc być pewni, czy nie są oni tak naprawdę wynikiem rozstrojenia jaźni Szalonego przeciw Kapelusznika. Czerwona Alicja sprawia wrażenie, jakby powoli uczyła się funkcjonować w tym dziwnym świecie – czyż nie jest to właśnie doświadczenie dorastania?

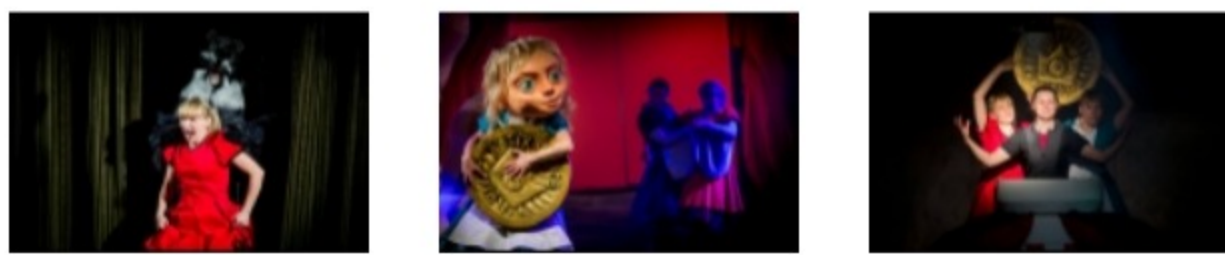
Ostatnia ze scen – z Alicją Czarną (Edyta Soboczyńska) dzieje się w miejscu, które jak żadne inne związane jest z dorastaniem. Pomysł umieszczenia sądu królowej w szkolnej sali wydaje mi się znany z tego powodu, że wiktoriańskie, dyscyplinujące praktyki przeniesione są w kontekst znany każdemu młodemu człowiekowi. W roli nauczyciela-woźnego występował Królik, a oskarżyciel-Królowa to niewidoczna postać zaznaczona tylko czerwonym okiem nad sceną. O tym, że to przeniesienie było skutecznym zabiegiem, świadczyło wyczuwalnie większe skupienie, z jakim obserwowały tę scenę dzieci. Czarna Alicja wydaje się najbardziej zagubiona i beznadza z nich wszystkich, nie ma w niej ani buntu, ani radości tych wcześniejszych wcieleń. Jest to widoczne tym bardziej, że obie poprzednie Alicje (cały czas obecne w tej klasie-sądzie) stoją raczej po stronie irracjonalnych prześladowców. Finał przedstawienia może wydawać się zaskakujący, choć również doskonale mieścić się w swobodnej logice snu – wszystkie trzy Alicje stają razem obok siebie trzymając w rękach gigantyczną monetę, która w spektaklu pełniła rolę zarówno klucza, jak i powiększająco-pomniejszającego grzyba.

Przedstawienie w Baj Pomorskim posiada jedną ładną cechę – bardzo starannie, jakby wbrew chaosowi wydarzeń, budowany jest klimat niepewności i tajemniczości tak bliski powieści Carolla. Oglądając je, nie należy jednak próbować podążać za opowieścią, czy też doszukiwać się teatralnych ekwiwalentów scen z książki. To spektakl, któremu należy się poddać i – jeśli okoliczności pozwolą – dać się wciągnąć w jego świat, bo obserwowanie go może być przyjemne. A na koniec, też za *White Rabbit*, specjalna dedykacja dla wiadomo kogo: „Remember what the dormouse said: Feed your head. Feed your head. Feed your head”.

18-01-2017

GALERIA ZDJĘĆ

ALICJA W KRAINIE CZARÓW, REŻ. MAREK CIUNEL, TEATR BAJ POMORSKI W TORUNIU



ZOBACZ WIĘCEJ



Teatr Baj Pomorski w Toruniu
Lewis Carroll
Alicja w Krainie Czarów
reżyseria i adaptacja: Marek Ciunel
scenografia, kostiumy, video: Sebastian Łukaszuk
muzyka: Piotr Klimek
choreografia: Urszula Pietrzak
efekty magiczne, iluzja: Jerzy J. Buczyński
reżyseria światła i foto: Radosław Kamiński
obsada: Marta Parfieniuk-Białowicz, Edyta Soboczyńska, Anna Chudek, Mariusz Wójtowicz, Jacek Pietruski, Andrzej Korkuz
premiera: 29.12.2016

TAGI: Lewis Carroll, Marek Ciunel, Toruń, Teatr „Baj Pomorski”,

Udostępnij

SKOMENTUJ

Autor lub zaloguj się

Treść komentarza

Aby potwierdzić, że nie jesteś robotem, wpisz wynik działania:

dwa plus trzy jako liczbę:



KOMENTARZE (0)

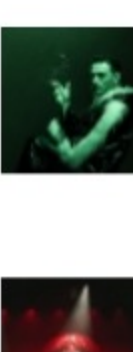
Teatr „Baj Pomorski”



Anna Jazgarska
Wyspa Niby Nigdy



Anna Jazgarska
Co z nami będzie?



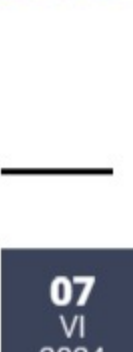
Piotr Dobrowolski
Grówno (nasze powszednie)



Anna Jazgarska
Prawa Murphiego



Anna Jazgarska
Wynalezienie Ameryki



Joanna Ostrowska
Czas kaczątek

KALENDARIUM

07 VI 2024 Międzynarodowy Festiwal Sztuk Performatywnych A Part XXX edycja

28 VI 2024 Festiwal Sztuka Ulicy XXXI edycja

26 VII 2024 Festiwal Szekspirowski XXVIII edycja

B A D Z N A B I E Z A C O

